



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Władysław Umiński.

HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

(Dalszy ciąg)

Handel bez dobrych dróg i bez pewnych mostów na rzekach jest nadzwyczajnie utrudniony i wskutek tego w jednej okolicy mięso się marnuje, a w innej ludzie muszą żyć samemi rybami; tu jest do zbytku żelaza, a tam ludziska biedzą się bez pługa, bez łopaty, słowem, wszystkim dzieje się krzywda.

W kraju, posiadającym dobre i liczne drogi każdy pożyteczny produkt znajduje zbyt i posiada cenę, odpowiadającą jego rzeczywistej wartości i nie się nie marnuje, a przez to wytwarza się ogólny dobrobyt.

Zastanówmy się tylko nad potrzebami dzisiejszego człowieka, a zobaczymy, jakim stałby się nędzarzem i jakby musiał zmienić swój obecny sposób życia, gdyby nagle jaka złośliwa potęga poniszczyła drogi.

Oto dziś używamy pokarmów, o których nasi prapradziedzi nawet nie słyszeli nigdy. Jemy ryby sprowadzane z morza np. śledzie, owoce z Włoch, polepszamy smak potraw solą, pieprzem; pijemy herbatę z Chin, kawę z Indyi i Brazylii, czekoladę z Ameryki środkowej, mamy wanilię,



Via Appia, starożytna droga Appiusa Claudiusa.

rodzenki, wino i tysiące innych przysmaków, przywiezionych już nie z sąsiedniej okolicy, ale z dalekich, zamorskich krajów. Odziewamy się futrami syberyjskimi i amerykańskimi, perkalem, wyrabianym z bawełny, rosnącej w gorących krajach, słowem, zaspakajamy większą część naszych potrzeb przedmiotami, nabywanymi od innych narodów.

Jeżeli te wszystkie przedmioty są dziś tanie i przystępne nawet dla chudych kieszeni, zawdzięczamy to głównie ułatwieniom w handlu i ulepszonym środkom przewozowym; skasujemy szosy bite, koleje żelazne, okręty, wozy, a będziemy musieli wyrzec się tego wszystkiego, wrócić do pierwotnego życia, a to znaczy żywić się i odziewać tem, co sami potrafimy sobie zdobyć. A wiadomo przecież, że najpracowitszemu człowiekowi zabrakłoby czasu i siły, gdyby chciał sam szukać i soli i metalów w łonie ziemi, przerabiać je na narzędzia, szyc sobie odzież choćby ze skóry, uprawiać zboże, polować i t. d. Handel wymienny spadłby do zera, bo co najwyżej możnaby go prowadzić z poblizkimi wioskami; podział specjalności pomiędzy ludźmi stałby się zbyt cenny i wszyscy zaczęliby żyć znowu, jak dzicy w puszczy. Nie odrazu jednak Kraków zbudowano: mówi przysłowie nasze; nie odrazu ludzie mieli wozy, zaprzęgi, bite drogi, i koleje żelazne, łodzie i statki parowe; musieli sobie suszyć głowy przez długie wieki, zanim to wszystko powymyślali i rozpowszechnili. Najprostsza na pozór rzecz, np. koło u wozu musiało się ulepszać, przechodzić rozmaite formy, zanim się stało takim, jakim jest dzisiaj, a cóż dopiero mówić o kolejach żelaznych i okrętach, poruszanych parą.

Postanowiliśmy opisać wam wszystkie sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce i służące ku nim przedmioty, a zarazem pokazać wam, jakimi drogami nasi przodkowie doszli do tych ważnych wynalazków, ażebyście mogli ocenić wielkość i potęgę geniuszu ludzkiego.

Pierwotne drogi, jak już nadmieniliśmy, były zwyczajnymi ścieżkami. Jeżeli chodzono niemi często, to ulepszały się stopniowo, jeden podróżny usunął bowiem kamień, o który się potykał, drugi zasypał dół, przez który trudno mu było przeskakiwać, trzeci przerzucił pień drzewa przez strumień i t. d..

Ale takie naturalne drogi nigdy nie były wygodne i trwałe; jeździec i pieszy podróżowali niemi od biedy, lecz ciężkie wozy grzęzły w błocie, zwłaszcza na wiosnę i jesienią.

Ludzie od dawien dawna pojmowali ważne znaczenie dróg dobrych; mamy tego dowód na Rzymianach starożytnych, którzy nie żalowali ani pieniędzy, ani pracy ciężkiej na ten cel.

Tak np. droga Appiusa Claudiusa, Via Appia, zbudowana na 300 lat przed Nar. Chr. Pana, mierzy kilkadziesiąt mil długości; inna droga Flaminijska łączyła Rzym z miastem Ariminum na przestrzeni kilkuset wiorst; rozpoczął jej budowę konsul (najwyższy urzędnik rzymski) Flaminius w 222 r. przed Chrystusem. Do dziś dnia podróżni podziwiają szczątki tych dróg publicznych, wykładanych kamieniami, obfitujących w arkadowe mosty tak trwałe, że oparły się niszczącej potędze dwudziestu wieków.

Niektóre narody amerykańskie np. Peruwianie i Meksykanie, którzy osiągnęli wysoki stopień cywilizacji, także odznaczali się troskliwością o drogi. W twardej skale wykuli oni mozolnie szerokie gościńce, rozchodzące się we

wszystkich kierunkach od stolicy do najdalszych zakątków państwa.

Po upadku cesarstwa Rzymskiego zadawalniano się wprost szlakami i gościńcami nader pierwotnymi. Wprawdzie Karol Wielki w początkach IX wieku starał się o naprawę dawnych dróg bitych rzymskich i prowadzenie nowych, ale dopiero od 13-ego wieku dają się w zachodniej Europie spostrzegać na nowo ślady systematycznej budowy dróg bitych, z niwelacją t. j. zrównaniem gruntu, rowami, zwirowaniem i t. p.

U nas istniały z dawna szerokie gościńce, czyli trakty, noszące miano głównych miast, do których prowadziły. Przechodziły one niby wstęgi przez puszcze, lasy i rozległe pola. Na bagnach i mokrych łąkach sypano groble wykładane faszyną t. j. gałęziami lub kłocami drzewa. Dopiero od początku wieku XIX, zwłaszcza między 1816 i 1845 rokiem zbudowano wiele właściwych szos, czyli dróg bitych, przeważnie od Warszawy w różnych kierunkach.

Wskutek wynalazku kolei żelaznych nie zwracamy dziś tyle uwagi co dawniej na drogi publiczne, chociaż mamy ich znacznie więcej, niżli Rzymianie. Oprócz szos publicznych t. j. budowanych i utrzymywanych kosztem rządu, istnieją jeszcze drogi powiatowe, gminne i sielskie. Wszystkie one nabierają coraz większego znaczenia od chwili, kiedy zjawiły się wozy mechaniczne, czyli samochody, obywatęce się bez rełsów i koni. Przekonano się też, że wysadzanie dróg drzewami, przyczynia się nietylko do ich upiększenia, lecz i do trwałości.

Koniec rozdziału I-go.

Zofia Urbanowska.

ROZA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Ale ja nie jestem rada: od chwili gdyśmy wsiadli na wózek, deszcz ciągle pada! I to nie taki porządny, jak u nas na przykład, co się wyleje jak z cebra, popada czas jakiś i ustanie; ale drobny, a ciągły, a gęsty, jakby jaka zasłona. Nie widzieliśmy przed sobą nic oprócz koni... Ale, co ja mówię, nic! Z jednej i drugiej strony była przepaść. Doktor uśmiechnął się.

— Wiem, wiem — rzekł pobl. żliwie — znam tę drogę.

— Jezus Marya! — myślę sobie — jak się tu wóz razem z nami w przepaść stoczy, tak śmierć! Włosy mi stanęły na głowie: zamknęłam oczy i zaczęłam odmawiać modlitwę do świętej Katarzyny, mojej patronki.

— A dzieci czy bardzo się bały?

— Zwyczajnie jak dzieci, bawi je każda nowość. Henryś zawsze udaje zucha: za młody jest, żeby rozumieć niebezpieczeństwo, a Marysia znowu bardzo lubi jeździć: mieszkaby na wózku gdyby mogła. Góral też potem rozwiązał sznur podtrzymujący płótno wozu i opuścił je na boki, bo bardzo zaciekało i połowa sukni mi zamokła. Ale ja myślę, że on to zrobił dla tego, żebyśmy drogi nie widzieli. Odtąd nie widziałam już co nam grozi: modliłam się tylko i zdałam wszystko na Opatrzność!

Jakób z uśmiechem patrzył na mówiącą, której twarz łagodna, dobrośliwym zawsze nacechowana wyrazem, mocno

była teraz poruszona opisywaniem przebytych przygód. Z tonu głosu, z przejęcia z jakim mówiła, widać było, iż pewna jest, że cudem tylko uniknęła śmierci. Niebieskie jej oczy były prawie wyleknione.

— Niech mi szanowna pani wierzy, że podróż z Chabówki do Zakopanego nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa — odpowiedział tonem perswazyi. — Droga bita, doskonale utrzymana; jedzie się po niej jak po stole, a przytem wozy zaopatrzone są w hamulce. Gdyby nie ten deszcz, który gęstą płachtą zasłonił widok na obie strony, przekonałaby się pani naocznie, że przy drodze niema żadnych przepaści.

— Ale, co mi Kubuś mówi! — przerwała z pewnem rozdrażnieniem — widziałam na własne oczy przepaście straszliwe, a w jednym miejscu, coś w połowie drogi między Chabówką a Nowym Targiem, o mało nas wicher razem z wozem nie strącił z góry na dół. Wicher, powiadam ci, zaczął dąć z taką gwałtownością, że aż płótna powydymane jęczały, a podtrzymujące je obręcze trzeszczały. Smagał nas przytem po twarzy tak ostro, że aż lzy wyciskał z oczów. Myślałam, że nie wydostaniemy się żywi z tej krainy wichrów.

— Góra, którą pani bardzo właściwie krainą wichrów nazwała, zowie się Obidowa. Jestto stałe mieszkanie wicherów, nie opuszczających jej nigdy, nawet w najpogodniejsze dni upalnego lata; ale wypadki przewracania wozów rzadko się tam zdarzają.

— Aa, więc zdarzają się jednak! I ten rzadki wypadek mógł się być właśnie nam przytrafić... Gdybym to była naprzód wiedziała, nie ruszyłabym się z Miratycz za nic w świecie! Kubuś się ciągle uśmiecha?

— Bo poznałem już szanowną panią i wiem, że gdyby nietylko przez krainę wicherów trzeba było jechać, ale przez krainę ognia, pani pojechałaby bez wahania dla zdrowia Marysi.

— Oj, to prawda! — przyznała i dodała tonem przyciszonem: — Kiedy już tak otwarcie mówimy, to przyznam się Kubusiowi... chciałam powiedzieć, panu Jakóbowi...

— Niech będzie Kubuś, bez tytułu pana — przerwał młodzieniec, całując jej rękę.

— Ale czyż to się godzi, taki słuszny kawaler!.. Przyznam się panu Kubusiowi, że ja tam nie bardzo za temi widokami... i że puścić się w drogę, była to dla mnie ciężka rzecz! W moim wieku, z moim reumatyzmem, ma się już swoje nawyki i potrzeby wynikające ze starości: swój pokój, swoje łóżko, swoje krzesło nakoniec... a tutaj doprawdy, nie wiem nawet, jak przyjdzie przetrwać dwa miesiące! Proste ławy, twarde krzesła, w łóżkach siano zamiast materaców i ani śladu zrozumienia potrzeb ludzi cywilizowanych. To dobre dla górali, ale nie dla gości, chyba tylko dla młodych i zdrowych.

— Mieszkania wygodniejsze są, ale trzeba je naprzód zamawiać i to bardzo wcześniej. Tyle tu ludzi przyjeżdża, że gdyby nawet chaty jeszcze gorzej były zaopatrzone, wszystkie mimo to wynająto. Wiedzą to górale i dla tego nie bardzo się o wygodę gości swych troszczą! Braki te, co prawda, wynagradza piękna natura i zdrowe powietrze. Miękkie krzesło dla pani, nawet materace, znajdziemy powoli.

— Mówiłam naszemu gospodarzowi, że mógł być przecie jakieś wygodniejsze siedzenie przysposobić, i wie Kubuś co mi odpowiedział? „Kto chce dobrze siedzieć, niechaj siedzi doma!”

Jakób roześmiał się, panna Katarzyna mówiła dalej:

— A co do widoku, mój Kubusiu, czy to w naszych Miratyczach brakuje pięknych widoków? Jest las, jest jezioro, a gdy słońce wschodzi i zachodzi i przegląda się w wodzie, to jest tak ślicznie, że grzech doprawdy żądać więcej od Pana Boga. Piękna natura!.. Na owej górze Obidowej góral powiedział nam, że ztąd widać już Tatry i wskazywał biczyskiem przed siebie, ale my widzieliśmy tylko w dali ciemny a długi płat chmury, nic więcej. Ach,

co to była za droga! Płótno się w kilku miejscach rozdarło, a wilgoć i chłód przenikały nas do kości. Dzieci pytały się ciągle, czy jeszcze daleko do Zakopanego, a góral odpowiadał ciągle: „nie prec,” to niby, że niedaleko. Powtarzało się to tyle razy, że aż mi się naprzykrzyło słuchać. Myślałam, że ta podróż nigdy się nie skończy. Już zupełna noc była, gdy przybyliśmy. Łaska Boska, żeśmy nie zblądzi.

— Tego wypadku nigdy jeszcze nie było — odrzekł Jakób — góral tak zna swoje góry, że zabłądzić w nich nie może, zwłaszcza na bitej drodze. Wyobrażam sobie, jak państwo dobrze spali po tak męczącej podróży.

— Dzieci zaraz posnęły, ale ja nie mogłam. Szum potoku, płynącego tu gdzieś bardzo blisko, nie dał mi się nawet zdrzemnąć. W dodatku miałam nad samym oknem wodospad z deszczowej wody, spływającej po rynnice na kamienne płyty chodnika. Duet ten nie mógł mnie ukołysać.

— Dla mnie to bardzo przyjemna muzyka — wtrącił młodzieniec.

— Już ja za nią dziękuję!

— Bardzo łatwo można się do niej przyzwyczaić. Jestem pewny, że dziś już pani będzie lepiej spała.

— Myśli pan Kubuś, że to koniec? Gdy uszy moje już się nieco oswoiły z łoskotem strumienia i szumem wodospadu i oczy zaczęły mi się kleić, posłyszałam jednostajny, miarowy odgłos, niby spadających kropli i poczułam, że poduszka moja jest mokra. Zerwałam się, zapaliłam świecę; patrzę, a to z pułapu kapie! Co było robić? Odsunęłam łóżko od ściany, i krople padały już na podłogę, aż ustały nad ranem, gdy i deszcz ustał.

— Dach jest widocznie uszkodzony. Gazda powinien go naprawić.

— Właśnie dziś z rana posłałam po naszego gospodarza i gdyń mu pokazała wilgotną plamę na suficie i strugę na podłodze, dodając, że musiałam aż łóżko odsunąć, odrzekł mi na to „Wiecie co? a toście dobrze zrobili!”

Jakób roześmiał się znowu.

— Zdumiałam. Żadnego zakłopotania, powiadam Kubusiowi! Nie przestał ani na chwilę palić swej krótkiej fajeczki: przeciwnie, na twarzy jego był jakiś dobrotliwy uśmiech, jakby pobłażanie dla mnie, że z takiej drobnostki robię wielkie rzeczy! Potem zwróciłam jego uwagę, że w chacie niema najniezbędniejszych rzeczy, że brakuje nawet szafy do sukien, i że jemu samemu o to chodzić przecie powinno, żeby goście byli zadowoleni. Wie Kubuś co mi odpowiedział? „Takie pudło to mnie ta nie cieszy!” I jakby stał na stopie zupełnej równości towarzyskiej z nami, zasiadł naprzeciw mnie, na tem tu oto miejscu gdzie siedzisz i zaczął wypytywać o drogę, o zdrowie nasze, z jak daleka przybywamy i tym podobnie, a w obejściu jego przytem była najzupełniejsza swoboda, a nawet powiedziała bym, że pewne poczucie wyższości, jakby występował w roli opiekuna i protektora. Słychane rzeczy!

— Szanowna pani przywykła do tego, że chłopci klanają się do kolan i stają u drzwi nieśmiało; ale tu są inne obyczaje, innemi stosunkami wytworzone od wieków. Tu góral nie zależy, ani zależał nigdy od dworu, więc i w zachowaniu się jego niema pokory, a jest natomiast swoboda, pewność siebie i szlachetna godność w obejściu. Jest on u siebie panem, i uważa się za zupełnie równego temu, komu wynajmuje dom, a nawet do pewnego stopnia uczuwa się wyższym, bo tu jest gospodarzem, a my tylko gośćmi. Z pewnym przekąsem nazywa przyjezdnych „kieszonkowemi panami,” podczas gdy on sam czuje się „panem gruntowym.” Obyczaj odmienny, jaki goście z sobą przynoszą, jest mu równie obojętny, jak ich sposób wyrażania się i ich ubiór, z którego się pewnie śmieje. Góral jest sprytny: rozumie, że przyjeżdżający mają więcej od niego wiadomości o świecie i o tem wszystkim, co się na nim dzieje, ale własne swoje wiadomości uważa za wystarczające dla siebie, a swój sposób widzenia rzeczy, jego zwłaszcza spraw dotyczący, często ma za lepszy od naszego, w czem

się rzadko myli. Ztąd wynika, że nie obawia się rozmowy z ludźmi wykształconymi, wygłasza zdania śmiało i stanowcze, zapuszczając się nawet w długie dysputy.

(d. c. n.)

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Jakież przeciwieństwo ze stanowczym i śmiałym Amerykaninem przedstawia Herman Titbury, dotychczas tylko z imienia nam znany, a z kolei szósty numer „wybranych!”

Gdy reporterzy „Stadt-Zeitung” zadzwonili do jego mieszkania, Robey Str. N. 77, nie dozwolono im nawet przestąpić progu i tylko przez uchylone drzwi wyjrzała ku nim wielka, koścista postać niewieścia, z włosami w nieładzie i rażąco nieporządnym ubraniu.

— Czy można się widzieć z p. Hermanem Titbury? — pytał jeden z przybyłych, podając swą kartę wizytową.

— Nie wiem. Zapytam o to panią Titbury — brzmiała odpowiedź.

— A, więc jest i pani — pomyślał reporter — i to pani, której głos, jeśli się nie mylę, bywa tu decydującym.

Tymczasem służąca wróciła, by powtórzyć dosłownie daną jej odpowiedź.

— Pan Titbury niema z panami żadnego interesu i dziwi się, jakim prawem panowie mogą się mu naprzykrzać.

To powiedziawszy energiczna służka zatrzasnęła drzwi mieszkania i pozasuwała rygle zamku, w obec czego delegaci z dziennika byli zmuszeni odejść z niczem.

Nie trudno wszakże było w tej dzielnicy miasta zasięgnąć wiadomości o małżonkach Titbury, znanych tam aż nadto z chciwości i skąpstwa ludzi, których serca na wszelkie uczucie litości i miłosierdzia były niedostępne, i którzy pono dorobili się znacznego majątku lichwą, pożyczając biedakom drobne sumki na wysokie procenta i na zastaw. Ale tak Herman Titbury, jak żona jego Katarzyna, idąc ręką w rękę po tej drodze wyzysku i krzywdy, umieli się zawsze utrzymać w granicach pozornej legalności.

— Gdyby jeszcze mieli dla kogo tak gromadzić pieniądze — mawiali ich sąsiedzi — ale przecież Bóg odmówił im potomstwa, a sami też niczego nie użyją, skąpiąc nawet w codziennymżywieniu.

Rzeczywiście, małżeństwo Titbury jest bezdzietne i na Hermanie ma wygasnąć ten ród, którego Niemcy były niegdyś ojczyzną. Germańskie też pochodzenie uwydatnia się w całej powierzchowności jego.

Suchy, kościsty, cieszy się on wraz ze swą małżonką tak dobrym zdrowiem, że ani pół dolara nie wydali oboje przez ciąg wspólnego swego życia na lekarstwa lub poradę lekarską, a obdarzeni żołądkami prawdziwie strusiem żywią się czem niebadź, do czego ich sługa z konieczności zastosować się musi.

Nie mylił się też reporter w swym sądzie, że głos energicznej pani Katarzyny był tu decydującym. Mąż ulegał jej we wszystkim, nieśmiało tylko wypowiadając swe zdanie, mianowicie od czasu, gdy wycofał się ze swych lichwiarskich interesów, które poczęły już zwracać uwagę policji.

Całe też zajmowane przez nich mieszkanie zdawało się być dostosowane do ich charakterów. Wąskie, zakratowane okna odpowiadały ciasnym ich myślom i sercom niedostępnym, a zaryglowane główne drzwi wchodowe nie otwierały się nigdy czy to na przyjęcie przyjaciela, czy też członka rodziny.

Przyjaciół bowiem Titbury nie mieli nigdy żadnych, a z dalszą rodziną, jeśli nawet jaka istniała, nie utrzymywałiby stosunków z obawy, by nie wypadło im kiedy podzielić się z nią choćby kawałkiem chleba...

Zaprawdę ślepą musi być fortuna, jeśli ku takim ludziom uśmiech swój zwróciła, szepcząc im słowa nadziei odziedziczenia choćby tylko szóstej części milionów dziwaka.

A co się działo z nimi w owym pamiętnym dniu 1-o kwietnia, gdy Trybuna wydrukowała imiona „wybranych losem,” wśród których Herman Titbury wyczytał swoje.

— Tak, tak — wołał, nie posiadając się ze szczęścia chciwy człowiek — przecież innego Hermana Titbury nie ma w całym Chicago, a gdyby wypadkiem znalazł się jaki, to już stanowczo nie na Robey Str, bo wiedziałbym też coś o tem! Więc o mnie tu mowa, o mnie samym! .

— Świetny interes! Zagarniemy bez kłopotu sporo grosza! — mówiła nie mniej uszczęśliwiona pani Katarzyna, czyniąc ruch rękoma, jakby niemi całe stopy złota objąć chciała, przyczem oczy jakoś dziwnie nieprzyjemnie rzucały blaski.

Zaledwie wszakże pierwsze uniesienie minęło, obrzydła chciwość zasępiła ich oblicza.

— Głupi pomysł miał ten dziwak, żeby rozdrabiać swój piękny majątek. Ciekawa jestem po co tu aż sześć osób dobierać, czyż nie lepiej byłoby dać wszystko jednemu. I pomyśleć, że moglibyśmy sami osiąść wszystko, gdyby nie tamtych pięciu... — mówiła ze wzrastającym niezadowolaniem pani Titbury.

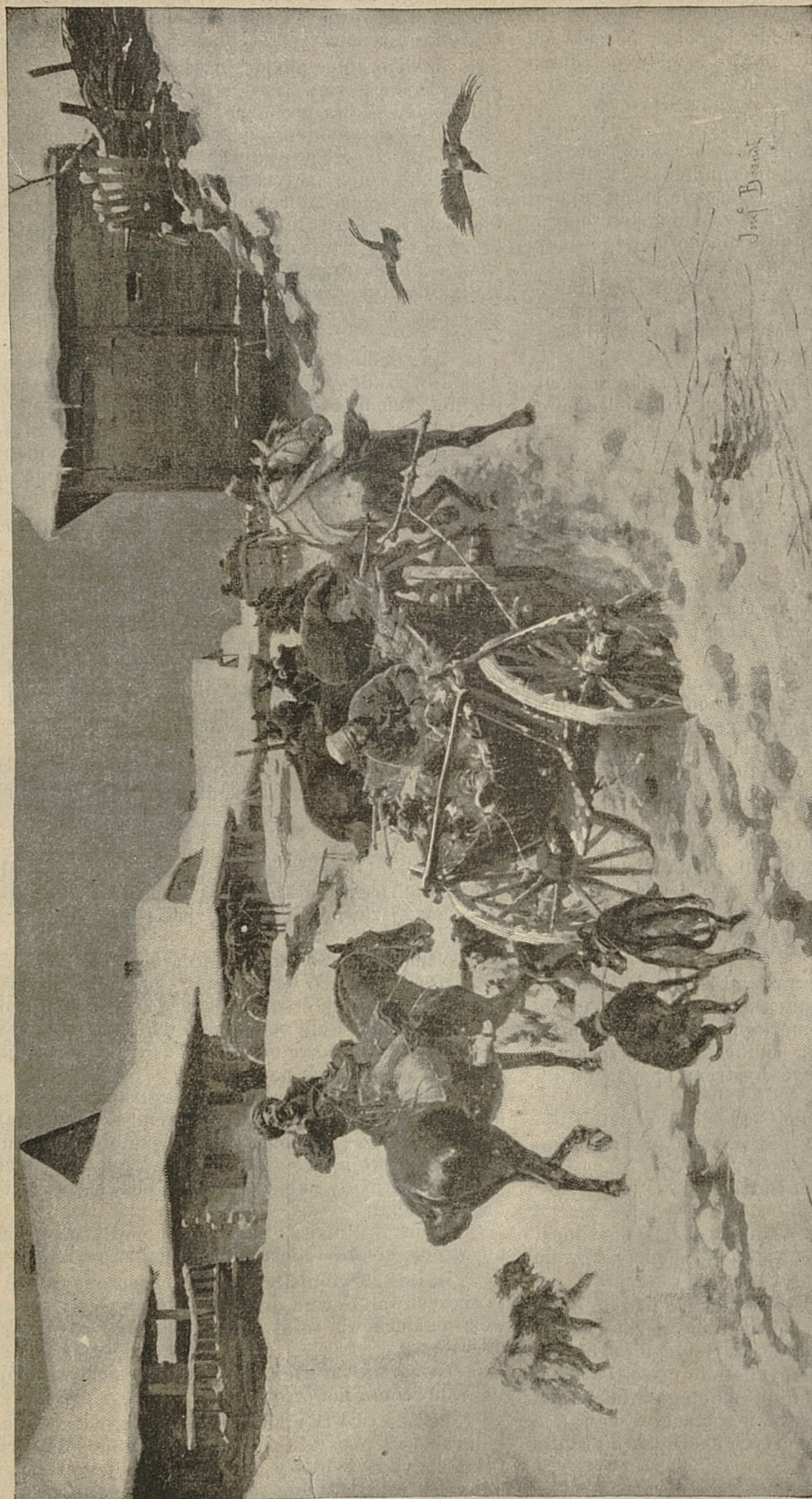
— Zawsze jakieś лихо musi się wnieść i psuć najlepsze dla nas interesa — mruzczał małżonek.

Do pow. Testament Dziwaka.



Tom Crabbe pochłania swe pierwsze śniadanie.

WYJAZD NA POLOWANIE.



Pojedziemy na łów! na łów!
Towarzyszu mój!

Brzmí rzeźka pobudka. Wczesny zimowy poranek, ciemno jeszcze, we wsi żeby przypadkiem baby z pustemi wiadrami nie spotkać, bo to fatalna ogni nie widać w okienkach, śpią ludzie po chatach zaspanych śniegiem, bo wróżba. Twórcą tego pięknego obrazu, jest jeden z najznakomitszych naszych współczesnych malarzy, Józef Brandt, urodzony w 1841 roku, a początkowo uczeń Juliusza Kossaka, od którego przejął zamiłowanie do malowania koni, scen rycerskich i myśliwskich.

I na ten temat dogadując jedno drugiemu, już nie za-
zdrosć tylko, ale najzupełniejszą nienawiść obudzili w swych
sercach ku niewinnym rywalom, które to uczucie było
aż nadto widoczne w spojrzeniach pana Titbury w czasie
pogrzebu.

Nie dość na tem. Po powrocie do domu poczęła ich
znowu dręczyć trwoga, czy aby tylko zmarły nie zbudzi
się jeszcze, i nie pozbawi ich tej szóstej nawet części, któ-
rą już chcieli uważać za swą niezaprzeczoną własność.

Obawa ta, wzrastając z każdą chwilą, spędziła tej nocy
sen z ich powiek. Zaraz też o wschodzie słońca wybrali
się na cmentarz Oakwoods, gdzie zbudziwszy śpiącego
jeszcze stróża, jeli go wypytywać głosem pełnym niepokoju:

— Cóż, leży nieporuszony?... Nie zaszło nic nowego?...

— Nie — brzmiała krótka, dość niechętna odpowiedź.

— Więc już naprawdę umarł?...

— Przecie nikt na świecie na żarty nie umiera! Bądź-
cie państwo o to spokojni — dodał badany nieco uprzej-
miejszym tonem, spodziewając się widocznie wynagrodze-
nia za tak niewczesne przerwanie wypoczynku.

Ale małżeństwo Titbury miało w zwyczaju tylko brać, ni-
gdy zaś dawać; więc choć słowa stróża były im wielce miłe,
skinęli mu tylko głową na podziękowanie i wrócili do domu
pieszo, tak jak przyszli, żalując nawet parę centów na
tramwaj

Wieczorem dnia tego odbyli jeszcze tenże sam spacer
w tym samym celu, i odtąd wizyty ich do stróża cmentarne-
go powtarzały się codziennie aż do terminu odczytania
testamentu.

Skoro reporterzy „Freie Presse” przybyli na ulicę
Columet, w fabrycznej dzielnicy miasta, w pobliżu jeziora,
dowiedzieli się dopiero od policji, że Tom Crabbe mieszka
w domu oznaczonym Nr. 7-ym.

Właściwie bowiem mieszkanie to zapisane było na
imię John Milnera, zajmującego się z zawodu urządzaniem
owych walk przesławnych, z których „gentleman” amery-
kańscy wychodzą nadto często z połamanemi żebrami, wy-
traconą szczęką, wybitemi zębami, lub wysadzonem okiem
i to jedynie tylko gwoli rozpowszechnionemu w tej części
świata sportowi „boksowania.”

A właśnie skończonym bokserem, siłaczem niezrówna-
nym jest Tom Crabe. Sława jego utrwaliła się we wszy-
stkich Stanach od czasu odniesienia zwycięstwa najpierw
nad uznanym za niezwykłego Francimonsem, a następ-
nie w 1897 r. nad nie mniej poważanym dla swej siły Cor-
bettem.

Bez żadnych formalności wprowadził przybyłych słu-
żący Johna Milnera do poczekalni na parterze, gdzie też za-
raz wyszedł ku nim gospodarz, męczącyna liczący około lat
trzydziestu, średniego wzrostu, chudości nadzwyczajnej,
nerwowo ruchliwy, lecz w którego bystrem spojrzeniu wi-
dniał spryt niepowszedni.

— Czy zastaliśmy pana Tom Crabbe? — zapytali.

— Właśnie kończy swoje pierwsze śniadanie, odpo-
wiedział Milner.

— Zatem możemy się z nim widzieć?

— W jakim interesie?

— Z powodu testamentu Williama I. Hypperbona,
aby następnie, jako o jednym z „sześciu” pomieścić o nim
wzmiankę w naszym piśmie.

— O, w takim celu Tom Crabbe zawsze jest do obej-
rzenia, proszę panów!... — To mówiąc, organizator walk
bokserskich, przeprowadził gości do przyległego pokoju ja-
dalnego, gdzie przy suto zastawionym stole ujrzeli w całej
okazałości olbrzymią postać siłacza, zajętego właśnie poch-
łanianiem szóstego plastra szynki z szóstym kawałem
chleba z masłem, gdy już sześć pustych skorupki jaj leżało
na talerzu.

Widocznie głodny jego żołądek nie mógł spokojnie
doczekać się chwili, aż woda do herbaty zagotuje się w ol-
brzymim kociołku, stojącym na stole. Skoro się i nią już
uraczył pozostaje mu jeszcze zwykła porcja sześciu kieliszków

wisky, które zakończą pierwszy jego posiłek ranny, będący
tylko wstępem do pięciu innych w ciągu reszty dnia.

Jak się zdaje, liczba „sześć” odgrywała ważną rolę
u sławnego siłacza i kto wie, czy nie jakimś tajemnicze-
mu jej wpływowi zawdzięczał właśnie fakt, że znalazł się
w gronie „sześciu” spadkobierców Williama I. Hypperbone.

Jest to kolos, mający sześć stóp angielskich i dziesięć
cali wysokości, na trzy stopy szerokości w ramionach.
Olbrzymia głowa z ostrym czarnym włosem, krótko przy-
ciętym — z wielkimi oczyma o bezmyślnem spojrzeniu
wołu — mocno zarysowanych brwiach, niskiem czole, od-
stających uszach, sutym zarostem wąsów, ostrzyżonych róż-
no z wycięciem szerokich ust, za któremi błyszczą duże
białe zęby, głowa ta spoczywa na grubym, krótkim karku
który ją łączy z tułowiem przypominającym swą objętością
wielką kłodę drzewa. Dwa potężne ramiona, poruszają
się jak dwie maczugi, a nogi grube niby pnie drzewa, dają
stosowną podstawę temu niepowszedniej budowy ciału ludz-
kiemu.

Ludzkiemu? Czyż właściwie zasługuje na miano czło-
wieka ów rzadki w swej wielkości wytwór natury, żyjący
jedynie życiem zwierzęcem? Dla którego jedzenie, picie, mo-
cowanie się i spanie są jedynymi objawami istnienia, gdy
władze mózgu i ducha zostają w zupełnem uśpieniu, i który
porusza się niby maszyna wedle woli swego mechanika,
Johna (Dżona) Milnera?

(d. c. n.)

DOROSŁA NA PRÓBE.

(DYALOG ŻARTOBLIWY).

OSOBY: Mania, Helcia (pensyonarki).

(Rzecz dzieje się na pensyi).

Helcia. Oj, już wieczór, a jeszcze nie wykreśliłam dnia
z brulionu (*wykreśla i liczy*), zatem do wakacyi jeszcze dni
16 i dzisiejsza noc. Maniu, jakie ty wakacje najwięcej
lubisz?

Mania. Zawsze te, które najdłuższe, a ty?

Helcia. Ja Wielkanocne; pasyami lubię mazurki,
a przepadam za jajkami na twardo. Prawda, to wyborna
rzecz. Wiesz, wolę nawet od czekoladek nadziewanych.

Mania. E, cóż mnie obchodzą takie dzieciństwa, wa-
żniejsze mam rzeczy na głowie.

Helcia. Nie udawaj! niby mazurki, to rzecz mała! cały
dom u nas w rujnacyi; mama zaniepokojona, tatuś w są-
siedztwo ucieka, kucharz zwykle podpije sobie dla animu-
szu i potem wojuje ze wszystkimi w kuchni, my niecierpliwie
wyglądamy, kiedy nam skosztować pozwolą. A ciebie to niby
nie obchodzi?

Mania. Widzisz, ja już pewno od wakacyi na pensyę
nie wrócę, bo moja siostra wychodzi za męża.

Helcia. Twoja siostra ma narzeczonego! Ach, jakaś
ty szcukiwka! Pewno dużo ten twój przyszły szwagier przy-
wozi cukierków? Mój Boże, szkoda, że nie mam siostry
dorosłej.

Mania. Cóż wielkiego dorosła siostra, mój brat jest
już wdowcem i ma dwoje dzieci.

Helcia. To ty ciocią jesteś? No, naturalnie, że w ta-
kim razie na pensyi zostać dłużej nie możesz; trudno, aby
takie malcy szanowały ciotkę, która jeszcze się uczy, czy
oni cię w rękę całują?

Mania (*z wahaniem*). Tak, to jest czasami, jak im co
za to obiecaw. Ale teraz, gdy będę panną na wydaniu, ko-
niecznie mnie całować muszą.

Helcia. Jakto? ty panną na wydaniu? (*śmieje się*), a to dobreby było, cha, cha, cha!

Mania (*zirytowana*). Z tobą naprawdę poważnie rozmawiać nie można; ciekawam, dla czego nie?

Helcia. Przecież masz krótką suknię i zrobiłaś 12 błędów w dyktandzie francuskim.

Mania. Z dziećmi nie rozmawiam. Wiedz, że długą suknię dostanę na Wielkanoc, a pannie dorosłej nikt dyktanda pisać nie każe. Mój przyszły narzeczony chyba nie pójdzie na pensję zapytać Melle Margueritte: „Ma fiancée a-t-elle fait beaucoup de fautes dans sa dictée?” Albo: czy stawia dobrze przecinki?” E, moja kochana, obawiam się, że nasze nauczycielki za surowo nas sądzą, mówią: to nieporządna, to nieuważna, to leniwa — a jednak nasz doktor co innego by powiedział.

Helcia. Jaki doktor? Co ci doktor powiedział? Żebyś nie jadła kredy, ołówków, tylko mięso, i nic więcej.

Mania. Prawdziwe dziecko z ciebie? Przecież nie ten tu doktor na pensji, tylko nasz wiejski, przyjaciel mego brata. Mnie się zdaje, że on mnie lubi i poważa; zawsze mnie pyta: A kiedy pani przyjechała? A kiedy pani powraca? To znów żartuje z mojej grywki, prześmiewa mnie, że musiałam być często zamknięta o chlebie i wodzie, bo tak zmizerniałam... Tylko widzisz, Helciu, ja taka jestem niemądra, że kiedy ze mną ktoś obcy mówić zacznie, to tracę rezon, zaczerwienię się, bąkam ni to, ni owo, jak jaka pensjonarka początkująca. Zawsze sobie napróżd układam całą rozmowę i taka jestem wtedy wymówna, przyjemna, cóż, kiedy jak go zobaczę, zupełnie niemieję. Wiesz, okropnie boję się, że on mnie ma za niemądrą.

Helcia. Cóż znowu? Przecież mówiłaś, że nikt nie pójdzie na pensję zapytać się o ciebie.

Mania. Albo to tylko nauczycielki wiedzą, jak kto ma w głowie?

Helcia. No, mówiłaś sama, że nikt w towarzystwie nie każe ci pisać dyktanda, ani też zapyta o daty, albo te nieznosne participy. Wiesz, ten participe, to moja śmierć:

Mania. Prawda, ale moja kochana, np. zapyta mnie kto: Co pani sądzi o Sienkiewiczu? Jakże mu na to odpowiem?

Helcia. Powiesz mu, że ci się bardzo podoba, że naszej przełożonej też się Sienkiewicz podoba i wszystkim nauczycielkom także, więc przecież przyzna ci rację.

Mania. Ale, kiedy widzisz, nie zawsze tak przytomnie odpowiedzieć można. Chciałabym wprawić się trochę, jak się rozmawia z dorosłymi panami. Wiesz, Helciu, udawaj doktora, przyjdź niby z wizytą, zapytaj o to i owo, i tak z sobą rozmawiać będziemy.

Helcia. Przecież tak w sukni to do niczego, a tutaj w co się przebiorę?

Mania. E, cóż to szkodzi; poczekaj, zrobię ci wąsy, zwinę kawałek papieru, to będzie niby papieros, weź tę linię jako laseczkę i wejdź temi drzwiami. (*wyppycha ją za drzwi*). Ale wpierv zastukaj. (*Helu stuk*).

Mania. Proszę wejść. (*Helia wchodzi*). Ach, jak się przestraszyłam! myślałam właśnie...

Helcia. Co ja ci mam na to odpowiedzieć?

Mania (*zirytowana*). Przecież jesteś doktorem, to pytać mnie teraz nie możesz, powiedz, co myślisz.

Helcia. A, witam panią; jakie pani woli czekoladki? czy nadziewane, czy też z migdałami?

Mania. Naprawdę, z tobą nic poważnie rozpocząć nie można, zaraz wyjedzie z temi czekoladkami: mów o kwiatach, książkach, balach, o wszystkim, wiesz, tak jak to w powieściach rozmawiają.

Helcia. No, poczekaj, już wiem; teraz zaczęć mówić naprawdę jak doktor.

Mania. Zaczynaj prędzej, bo zadzwonią na kolację będzie po wszystkim.

Helcia. Niech pani pokaże język.

Mania. Cóż znowu?

Helcia. A przecież doktor na pensji zawsze tak pyta.

Mania. Prawda, ale widzisz, tak od języka zaczynać nie można; zresztą, już mów co chcesz, hyle prędzej.

Helcia. Oj, czekaj, już wiem, już wiem. Czy pani nie kaszle?

Mania. Nie, panie, ale mam bicie serca.

Helcia. A po której stronie?

Mania. Ach, czasami z tej, to znowu z tamtej.

Helcia. To bardzo źle, ja pani zapiszę lekarstwo. (*po chwili namysłu*). Trzy razy dziennie łyżkę oleju, pojeść karmelkiem, kompres na serce i nie dużo się uczyć.

Mania. Kiedy ja się nie uczę, ja już jestem panną na wydaniu, bo moja siostra wychodzi za mąż.

Helcia. W takim razie musi pani często bywać na balach, zamawiam panią napróżd do mazura.

Mania. Widocznie ma mnie pan za istotę bardzo płytką, kiedy chce, abym się bawiła.

Helcia. A co pani chce robić?

Mania. Jabym chciała być poetką, nic nie jeść, tylko pić rosę z listków.

Helcia. To pani nie ma gustu; ja wolę śmietankowe babki i cukierki od Lursa.

Mania. Tak, ale ja jestem bardzo nieszczęśliwa.

Helcia (*smutno*). To tak, jak ja, ja też jestem bardzo nieszczęśliwy.

Mania. Dla czego pan taki nieszczęśliwy?

Helcia (*jakając się*). Bo, bo, bo widzi pani, jabym tak chciał być Robinsonem i mieszkać na odludnej wyspie a muszę pisać recepty i słuchać mamy... to jest ja już nie słucham nikogo.

Mania. A nie bałby się pan ludożerców?

Helcia. Ja, bać się? E, pani, pani mnie nie zna, żeby pani wiedziała, jakbym zaczął strzelać, pif, paf, to krew by się lała, a ja nic; wszystkich bym wystrzelał, a potem został królem na wyspie i panią ratował od dzikich.

Mania. To ja mam być u dzikich. Oh, oh, słabo mi! (*udaje, że mdleje*).

Helcia. E, nie mdlej, bo widzisz niema wody, to czemu bym cię otrzeźwiła?

Mania (*otwiera oczy*). Nic nie szkodzi, ja się sama ocucę, a tylko rozpaczaj, łam ręce... No, zaczynam (*krzyczy*), oh, ja pewno umieram!

Helcia (*udając rozpacz*). Umiera, trzeba ją ratować, (*wola jej w ucho*): Pali się! (*Mania zrywa się i pyta wystraszona*).

Mania. Gdzie?

Helcia. Cicho, to tylko żart... e, wiesz, sprzykrzyła mi się ta komedya.

Mania. Moja złota, tak już ładnie, zupełnie jak w teatrze; jeszcze trochę, moja najdroższa, podpowiem ci za to w wierszach.

Helcia. Tak jak zesłym razem, że panna Marya słyszała, a potem była bura.

Mania. Nie, zobaczysz, tak cichuteńko, ani się domyśli i dostaniesz 5. No, dalej, bo zaraz zadzwonią.

Helcia. A dasz mi swój pączek, jeżeli będą na kolację?

Mania. Ale dam, dam, tylko zaczynaj, moja złota.

Helcia (*po namysle*). Czy pani nie chciałaby być sławną poetką, jak Konopnicka albo Cwierciakiewiczowa?

Mania. Cwierciakiewiczowa? Przecież ona pisze o gotowaniu.

Helcia. To mi się pomyliło, ale wszystko jedno. Więc pani nie czytuje pani Cwierciakiewiczowej?

Mania. Teraz nie, bo już umiem gotować.

Helcia. Czy ty naprawdę wiesz, jak co gotować? powiedz prawdę.

Mania. Dobra sobie! panna na wydaniu nie ma być wtajemniczona w sprawy gospodarstwa. Moja kochana, praktyczność przede wszystkim. takie teraz czasy.

Helcia. No, to ty naprawdę możesz wyjść za mąż. Ale moja jedyna, powiedz mi, bo już nieraz się zastanawiałam, co się robi z rakami, żeby były takie czerwone?

Mania. Z rakami?... Prosta rzecz... pewno się je namoczy w szafranie albo jakiej innej farbie... zupełnie jak franki.

Helcia. A pewno.. ale wiesz to jednak barbarzyństwo, że je żywcem gotują, aż strach pomyśleć.

Mania. E, niema znów nad czem się tak litować... licz, że raki już do tego przyzwyczajone... bo je zawsze tak gotowali.

Helcia. Może to prawda.

Mania. Ale znowu zaponinasz, że masz mówić jak doktor.

Helcia (po namyśle). Czy pani się nie boi wojny albo dzikich zwierząt?

Mania. Nie, Marya niczego się nie boi, choćby tu był lew czy tygrys.

Helcia. O i ja niczego. Żeby tu odrazu sto armat wystrzeliło, ani bym drgnęła.

Mania (z krzykiem spoglądając w kąt). Mysz, mysz. mysz!

Helcia (przestraszona). Gdzie, gdzie? (obiedwie dziewczynki wskazują na krzesła, wtem rozlega się dzwonek)

Mania (w dalszym ciągu). Słyszysz, dzwonią na kolację. Niech się dzieje, co chce, ja lecę na pączki (zeskakuje z krzesła i chce uciekać).

Helcia. A twoje wąsy?

Mania. Ach, prawda, co zrobić teraz z niemi? może je zmyjesz? (Mania schodzi, oglądając się na wszystkie strony, naraż znów krzyczy: „mysz!” dziewczynki na nowo wskazują na krzesła, kurtyna spada).

Widzimy, że miesiące wiosenne nie przedstawiają się według Falba uroczym, pomimo więc pragnienia, aby nauka mogła kiedyś dojść do pewnego przewidywania pogody, tym razem życzę z całego serca, żeby pan Falb co do kwietnia, maja i czerwca był w błędzie. I tak w ciągu zimy ślizgawka nie dopisuje nam stale, a cóż dopiero będzie w razie brzydkiej wiosny! ani palanta, ani tenisa, ani nawet porządnych spacerów i wycieczek nie będzie można robić.

„Orzeł Czubaty” i „Błyskawiczny Lew” wolą łyżwy systemu angielskiego, niż amerykańskiego, pod niektórymi względami mają rację, gdyż angielski są lżejsze, ale sposób ostrzenia drugich (bez rowków) lepiej się nadaje do jazdy, zresztą w tej kwestyi zapytywałem o zdanie Redakcyę tygodnika „Sport,” która obiecała, że wkrótce szeroko o różnych systematach łyżw napisze, a ja wówczas obszerniej wam odpowiem, byleby tylko lekki mróz pottrzymał jeszcze z parę tygodni, gdyż obecnie

Zamiast srebrzystej tafli lodu

Woda od góry, woda od spodu.

Z należytych szacunkiem przeczytałem list „Młodej Duszy,” ujął mnie swoją prostotą i szczerością, nie licującą z tą złośliwością, którą „Młoda Dusza” sobie przypisuje. List jej odesłałem Jaskółce, do której pisać należy pod adresem Redakcyi. „Próchno” i „Słoneczko” na moje ręce przysłali rozwiązania szarady i arytmogryfu. Mam w zapasie kilka ciekawych pogawędek, ale cóż, kiedy Redakcyja nie zawsze udziela mi miejsca.

W. R.

PRZEPOWIEDNIE POGODY.

Pogawędka Wieczora.

Jeden z moich korespondentów, podpisujący się wspólnie, jako „Błyskawiczny Lew” prosi, abym napisał coś z dziedziny astronomii. Chętnie bym to uczynił, ale Redakcyja wstrzymała mnie w zapędzie, bo zeszłego roku było w Wieczorach kilka obszernych pogadanek z tej nauki pp. Kramsztyka i Trzczińskiego, trzeba więc poczekać, a tymczasem podzielę się z wami przepowiedniami pogody na I szej półrocze r. b., astronoma wiedeńskiego Falba, które podobno zawsze „gdzieś” się sprawdzają. Dobrzeby było zauważyć i zapisać, czy przepowiednie będą trafne dla naszych stron.

Otóż luty ma być cały suchy i pogodny, a w drugiej połowie chłodny. Około 1-go marca, który jest według Falba dniem krytycznym, należy się spodziewać gwałtownych zmian, wichrów, lub burz. Marzec będzie ciepły, zwłaszcza w drugiej połowie. W pierwszej połowie kwietnia — krótko trwały śnieg, w drugiej — przymrozki. Maj z początku tylko ma być ciepły, później chłodny, możliwe przymrozki. Czerwiec dżdżysty i chłodny.

OGŁOSZENIE DLA DOROSŁYCH.

SPORT.

Tygodnik Ilustrowany, z dodatkami w miarę potrzeby, poświęcony wszystkim odłamom sportu i życia towarzyskiego, przynosi w słowie i rysunku najszybsze i najdokładniejsze wiadomości „Sport” jest pismem zupełnie niezależnym.

Na zasadzie umowy, zawartej z Towarzystwem Ubezpieczeń „Rosya,” „Sport,” zapewnia wszystkim rocznym prenumeratorem swoim, którzy opłacą całoroczną prenumeratę w administracyi tegoż pisma (Mazowiecka Nr. 4.) Ubezpieczenie od wypadków, zdarzyć się mogących w czasie jazdy konnej, na rowerach, bicyklach, w czasie polowania, fechtunku, wioślowania, żaglowania, pływania i t. p. z wyłączeniem jednakże wszelkiego rodzaju wyścigów i konkursów, na rub. 1000 na wypadek śmierci, rub. 1000 na wypadek zupełnej niezdolności do pracy. „Sport,” ze względu na swe rozpowszechnienie, nadaje się bardzo do ogłoszeń.

„Sport” kosztuje rocznie w Warszawie z odniesieniem do domu rub. 4 kop. 60, z przesyłką pocztową rub. 6. Próbną numerę wysyła bezpłatnie na żądanie.

Administracyja tygodnika „Sport”

Mazowiecka Nr. 4 w Warszawie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRESC: Historia środków komunikacyi, przez Wł. Umińskiego (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody ta trzańkiej przez Zofię Urbanowką (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D (z ryc.) — Wyjazd na polowanie (z ryc.) — Dorosła na próbie, dyalog. — Przepowiednie pogody. pogawędka Wieczora. — Dodatek: Ślepa babka, wiersz (z ryc.) — Pogadanki naukowe: — Bohater Pawełka i Ewci (c. d.) — Łanigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.



SLEPA BABKA.

Chusteczką swe oczy
Babcia zasłoniła,
By dokoła siebie
Nic nie zobaczyła.

A na ślepa babkę
Za to się dostała,
Że innej znów babce
Pochwycić się dała.

Długo teraz, długo,
Będzie w koło gonić,
Každy ujsć jej pragnie,
Každy przed nią schronić.

Cichutko, leciuchno,
Jak cienie suwają
Dzieci po pokoju...
Czasem znów wołają:

— Hej babciu, ostrożnie!
— Ogień — babciu miła!...
A babcia się cofa,
By czego nie zbiła...

Ten w dłonie zakłaśnie,
Ów trąci ją lekko,
Ona ręką sięgu —
Już pomknął daleko!...

Więc z nowym zapalem
Znów pokój przebiega,
Chcąc koniecznie schwycić
Tak zręcznego zbiega.

Hałasem i śmiechem
Kotek wystraszony,
W gwałtownej ucieczce,
Chce szukać ochrony.

I Kazinek miły,
Jeszcze tak maleńki,
Opieki też szuka
U swojej mateńki.

A tam znów pod ścianą
Ktoś na krześle stoi,
Pewnie tchórz to wielki
Gdy się babci boi.

Cóż znów, Staś tylko
Tak stroi figielki,
Wszyscy o nim wiedzą,
Że zuch z niego wielki.

Hej babciu, czas przecie
Byś kogo schwytała,
I z kolei jemu
Oczy zawiązała!

M. D.

POGADANKI NAUKOWE.

K kiełka, co z ziarenka w górę wychodzi, urosła łodyga, która wciąż dąży wyżej, jak jednocześnie korzeń swoim końcem na dół się przebija. Z korzenia głównego rozchodzą się pochodne, z łodygi osiowej rozchodzą się boczne gałązki. Korzeń czerpie dla siebie i dla łodygi pożywienie z ziemi, łodyga — czerpie dla siebie i korzeni pożywienie z powietrza. Obie te części rośliny, pracując wspólnie dla swojej korzyści i dla korzyści ogólnej, wytwarzają życie rośliny i jej rozwój.

Oto masz pierwszy przykład cnoty. Każdy krzew, każde drzewko uczy nas, co może zgodna praca i wspólna pomoc.

— Ach! prawda, ciotuniu, ile razy spojrzę na moją pelargonie, zaraz sobie o tem pomyślę.

— Więc tylko pomyślisz?

— Oh, nie, będę się starała naśladować ją.

— No i jakże to uczynisz?

— Jak?... a będę usługująca, pożyczę komu co będę mogła i będę bardzo pracowita.

— A ja myślę, że jeszcze jedno uczynićbyś mogła.

— Ach! co to takiego być może?

— Widzisz, w roślince jedna częśćka pracuje dla drugiej, dopomaga jej... Tobie tak łatwo idą nauki, czy twoje koleżanki wszystkie równie zdolne?

— Oh! wiem już, wiem doskonale: Ludka zawsze płacze przy arytmetyce, a Stasi tak trudno idzie historia; już wiem, dopomogę im zawsze.

— Bardzo piękne przedsięwzięcie, tylko pamiętaj wypełnić je.

— Wypełnię.

— Wspominałam ci wczoraj, że są łodygi do korzenia podobne. Łodygi te wyrastają poziomo i ciągną się poziomo, jak pędy przytwierdzone do niej małutkimi korzonkami, albo też stoją. Łodygi stojące zwą się korzeniakami.

1) Kłącza czyli łodygi ciągnące się pod ziemią, napełniają się często w niektórych końcach białą mączką i tworzą bulwy. Takimi bulwami są właśnie kartofle. Właściwy owoc kartofla jest nasienie, którego nikt przecie nie je, za to jego kłącze smakują nam bardzo.

2) Korzeniaki mają w ziemi rodzaj pieńka, który z pączków nadziemne łodygi wypuszcza; tak rosną konwale, szparagi, chmiel i perz, co tak zanieczyszcza rolę, że go muszą wygrabiwać i palić.

3) Łodygi zwykłe t. j. nadziemne, dzielą się na cztery gatunki. Pierwsze: łodygi właściwe pozostają całe swoje życie t. j. rok cały zielone i soczyste. Drugie — drzewieją w pień. Trzecie — stanowią źdźbło w trawach i zbożach. Czwarte — podobne z powierzchowności do drzewa, a z wnętrza do źdźbła, nazywają się kłodzinami. Pień drzewny jest najtrwalszy i twardszy w środku niż w obwodzie, bo posiada mocny bardzo rdzeń. Pień zwykle rozgałęzia się.

Kłodzina rośnie zwykle pojedynczo t. j. nie rozgałęzia się. Wnętrze, zamiast twardego rdzenia zawiera rzadką tkankę komórkową. Źdźbło jak wiesz, jest wewnątrz puste. Zazwyczaj źdźbło bywa cienkie, czasami jednak, jak trzcina w kukurydzy i końskim zębie znacznej dochodzi grubości. W bambusie drzewieje nawet.

— A co to jest bambus?

— Jest to gatunek trzciny, rosnący w krajach gorących.

4) Cebula jest także łodygą podziemną, mocno skróconą. W mięsistych jej listkach zawiera się pożywienie dla zarodka, póki z twardego spodu jej, piętka zwanego, nie wyjdą korzonki, szukające w ziemi pożywienia.

Wszystkie łodygi podziemne łatwo od korzenia odróżnić, gdyż wypuszczają listki, czego właściwy korzeń nigdy nie czyni.

Korzeń też, różni się od łodygi tem głównie jeszcze, że na samych koniuszkach swoich grubieje przez tak zwane czapeczki ochronne, których łodyga nie posiada przecie.

Bohater Pawełka i Ewci.

(Dalszy ciąg).

Ewcia zatrzymała się i ze łzami w oczach wyszeptowała: — Co my zrobimy, Pawełku, jeżeliśmy zabłądzili? — Mama mi mówiła, że jeżeli kiedy zabłądzę, to mam powiedzieć policyantowi, gdzie mieszkam, a on mnie do domu zaprowadzi, lecz tu nie ma ani policyanta, ani żywej duszy. Jak myślisz, Pawełku, czy nas tu kto znajdzie?

Widząc łzy w oczach Ewci, Pawełek odzyskał odwagę. Wiedział przecie, że był jej starszym bratem i że obowiązkiem jego była opieka nad nią, i jeżeli się zabłąkał, to musi odnaleźć drogę do wioski i nie przestraszać siostrzyczki. Odrzekł więc, siląc się na wesołość.

— O tak, ktoś nas na pewno znajdzie. Jeżeli nie wrócimy na obiad, to babcia przyjdzie po nas... Ale może sami trafimy do dróżki.

Niestety, biedne dzieci szły w zupełnie przeciwnym kierunku.

— Takbym chciała spotkać Rysia i Billy — rzekła Ewcia. — Onby nam tak jak wczoraj pokazał drogę.

— Z pewnością — odrzekł Pawełek — nawet babcia mi mówiła, iż jeżeliby Ryś chciał nas odwiedzić, to musiałby przejść przez błonie. Możemy więc go spotkać. Patrz! oto jakaś droga. Może nas ona doprowadzi do znajomej nam dróżki.

Droga, na którą wyszli, prowadziła istotnie do znajomej im drożynki, lecz zamiast udać się nią w stronę wioski, dzieci poszły w przeciwnym kierunku.

Szli tą drogą w milczeniu przez dziesięć minut, aż zamiast wrzosem pokrytego błonia, ujrzeli wysoki mur z po za którego wyglądało mnóstwo drzew.

— Ewciu! — zawołał Pawełek, zatrzymując się na-

gle. — Poszliśmy zupełnie inną drogą, a ja jestem tak zmęczony!

Ewcia zaczęła gryźć róg fartuszka, zabierając się do płaczu; żal jej było bardzo biednego brata.

Lecz za chwilę Pawełek zawołał:

— Jest jakiś dom, pójdziemy i spytamy się o drogę do pani Jakóbowej. Patrz, jest i brama.

Ale nie łatwo im było otworzyć dużą, żelazną bramę. W końcu jedna jej połowa na pół się otwarła, Ewcia przeszła pierwsza, Pawełek szedł za nią, gdy nagle wielki czarny pies warcząc groźnie, rzucił się na dziewczynkę.

Dziecko krzyknęło przerażone i cofając się gwałtownym ruchem, przewróciło Pawełka.

Biedny chłopczyzna zmęczony, przestraszony, nie wiedział zupełnie co się z nim stało, znalazłszy się nagle na ziemi a o krok od siebie ujrzał wielkie, czarne zwierzę, ujadające okropnie.

VII.

Rozmowa z Rysiem.

— Przestań, Rower! Cicho mi zaraz! Pawełku! czy to ty? On cię nie ugryzie. On tylko lubi postraszyć ludzi, których nie zna. Czy to Ewcia tak krzyknęła? Co w ty robisz?

Dzieci poznały głos Rysia, który usłyszawszy krzyk Ewci, zeskoczył prędko z muru i odwołał wielkiego psa, szczekającego groźnie na biedne wylęknione dzieci.

Przestraszony Pawełek myślał w pierwszej chwili, że to wielkie psisko zje go chyba, lecz Rower spełniał tylko swój obowiązek, który polegał na tem, by nie wpuścić do ogrodu nikogo, ktoby wprzód nie zadzwonił, oznajmiając tym sposobem swe przyjście. Dzieci nie zauważyły dzwonka, umieszczonego przy bramie, nie zadzwoniły i dlatego Rower przyjął ich tak niegrzecznie.

Pawełek podniósł się z ziemi błądy i drżący, a gdy zobaczył Rysia, jak stał przed nim przyjaźnie uśmiechnięty, zdrow i silną ręką trzymając za obrozę Rowera — wydał mu się wtedy prawdziwym bohaterem.

Biedny chłopczyzna mógł tylko powiedzieć:

— Zabłądziliśmy i chcieliśmy się o drogę zapytać, później zbladł jeszcze więcej, zachwiał się i byłby upadł, żeby Ryś go nie pochwycił i nie posadził na schodkach domku ogrodnika.

— Joasiu! Joasiu! — zawołał Ryś, uderzając pięścią w zamknięte drzwi domku — chodź tu jaknajprędzej!

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Mało przedmiotów na Bożym świecie,
Tak pożądanym jak ja, znajdziecie.
Wesołość memi podąża ślady,
Tańce, muzyka, urok biesiady.
Mile witany gdzie się ukażę,
Smak ludzki lechcę, wzroku nie rażę.
A cóż dopiero kiedy mię wiosna,
W królewskie dłonie ujmie radosna,
I uświęcając powrót łaskawy,
Rzuci na drzewa, krzaki i trawy,
Wówczas w mojego bytu kolei,
Jestem najśladzszym godłem nadziei.

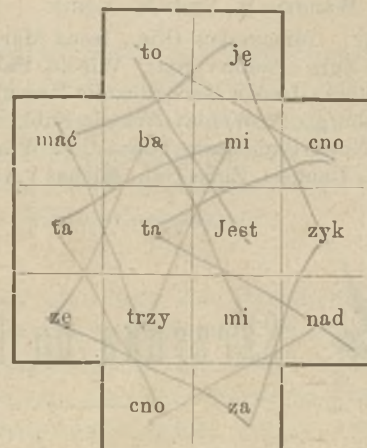
ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Od Brzózki dla Wichury.

..... Zastąpić kropki literami
..... tak, aby rząd pierwszy oraz
..... pierwsze litery, złożyły nazwę
..... starożytnego poematu indyjskiego.
..... Rząd 2) Żona słynnego bohatera tro-
..... jańskiego. 3) Miara długości. 4) Boha-
..... ter grecki. 5) Stolica starożytnego pań-
..... stwa. 6) Bohater z wojny Trojańskiej. 7) Fan-
..... tastyczna postać u starożytnych Greków. 8) Do-
..... pływ Renu. 9) Rzeka w Szwajcaryi. 10) Zaimek
..... osobowy. 11) Samogłoska.

ZADANIE KONIKOWE.

Niezapominajka z n. W. dla babci.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 5.

Szurady: Jar — mar — ki.

Zadania arytmetycznego:

Gdyby Staś dał biednym po 12 kopiejek, zamiast po 15 — to jest po trzy kopiejki mniej każdemu, to nietylko nie zbrakłoby mu 10 kop., ale jeszcze pozostałoby 14, to jest miałby więcej (10 + 14 = 24) o 24 kop. Zatem dając każdemu biednemu mniej o 3 kop., wydałby na wszystkich mniej o 24 kop. Ztąd widzimy, że biednych było tyłu, ile razy 3 mieści się w 24, to jest 3 = 8. Było ich zatem ośmiu. Staś zaś miał 1 r. 10 k. t. j. 96 (12 × 8) + 14.

Arytmogryfu:

	p	o	w	ó	j
	P	ł	o	c	k
	K	a	j	a	k
	D	a	n	i	a
G	w	i	a	z	d
J	a	n	s	k	r
W	o	j	n	a	z
Z	o	f	i	a	k
Z	o	s	i	a	t
	C	o	r	s	o
	P	ł	a	c	z
	D	e	m	o	n
	A	n	i	o	ł

Rozwiązanie Zadania arytmetycznego z Nr. 5.

Zadanie to nie było trudne, otrzymaliśmy też wiele dobrych rozwiązań. Powiększamy zatem liczbę nagród z trzech do 12-u i przyznajemy je według zapowiedzi tym, co najszybciej wysłali rozwiązania, mając na względzie dla listów z prowincji stampel poczt. na kopercie.

Nagrodzeni z Warszawy: Józio Weyss., Bohdan Strasz., Al. Rudn. i Cesia Berm.

Z gub Król. Pol.: Wodna Lilijka., Bod., Trzpiotka i Ludw. Waszk.

Z dalszych stron: Wróbelek z nad Newy, Jakób Sad., Tadzio Kraj. i Józio Hrynk.

Kalendarzyki, stanowiące nagrody, rozesłemy za dni kilka.

Oprócz wyżej wymienionych dobre rozwiązania nadesłali:

Z Warszawy: Kadłubek, Syrenka, Cyganeczka, Leon Nowod., Stefuś Żyl., E. H., Oleś Rie., Andrzej Jan., Feliks Zalew., Z. Reich., M. Legot., Czarnuszka i Bielasek, Juruś Woj., Bolesław Trus, Prenumerator z Zielnej, Wróbelek, Stefan Brzez., Sokole Okó, Witold M., Maryla z Włodzimierskiej, Włóścianka, Rycerz Błękitny, Wandzia S., Piotr S., Konik.

Z prowincji: Mieczysław Glin., Irena Mar., Józio Czarny Konik, Salomon Zej., Paulina Szt., Witold Hab., Jedyńczka, G. Dobr., Zofia Resz., Irenka Kur., Rozalia Borez., Janusz Lands, Maniuta z Petersburga, A. Wołow., Wanda Zubl., Pawełek Strzał., Jagódka z pod Nowo-Radomska, Zosia G. z Wilna, E. J. z Fałkowa, Femcia G., Danusia, Zofia Gol., Michaś i Adolf T.



Skrzynka do listów.

P. Zofii Cich. tymczasem podajemy kilka tematów np. Aniołowie u Piasta i Rzepichy, scena z „Powrót Taty,” cztery pory roku. Trzeba osoby ugrupować jakby na obrazie w mniej więcej odpowiednich ubraniach i otoczeniu. W przyszłym Nr. napiszemy osobny o tem artykuł.

Zbig. Pron. Jak B. Chmielnicki.

Dla Janinki M. posłaliśmy wybraną książkę. Za miły liścik dziękujemy.

P. D. z Kowla. Roczniki z 1896 wyczerpane. Książkę wysłaliśmy.

Dobre rozwiązania zadań otrzymaliśmy od: **Michasia i Adolfa T., Walecznego Rycerza, Orła Czubatego, Czarnuszk i Bielaska, Włóścianki, M. A. K., Marylki z Włodzimierskiej,** która przysłała też łamigłówkę i szaradę własnego układu. Nadto **Czarnuszka i Bielasek** przysłali arytmogryf, a **Rycerz Błękitny** łamigłówkę sylabową, w tej jednak słowo do odgadnięcia (Transwaal) błędnie napisane.

Dość dużo czasu potrzebowałaś **Dzierlatko,** by napisać do mnie i obawiałaś się jeszcze, że mnie twój krótki liścik znudzić może. Mogę cię zapewnić, że stało się wprost przeciwnie, bom go z przyjemnością odczytała i o dalszy ciąg korespondencji proszę bardzo.

Z prawdziwą radością przekonałam się, żeś niezupełnie zapomiała o przyjaznej ci Jaskółce, kochana **Córo Mazurów** i list twój z wielką powitałam radością. Powiastka, o której wspominaś, z powodów niezależnych od Redakcyi drukowaną dotąd nie była, ale będzie; co zaś do twój szarady, to musisz jeszcze czekać cierpliwie, póki kolej nie nadejdzie. Ostatnia, którą przysyłaś, zgrabnie ułożona, lecz niewarto nazwiska rozbójnika rozpowszechniać w ten sposób.

Wodnej Lilijce posłaliśmy zaginione numera z roku zeszłego.

Rozwiązania zadań dobre. Za udzielone mi wiadomości bardzo dziękuję i polecam się nadal twój pamięci.

Niech kochana **Wisetka** nie poprzestanie na tym pierwszym liście i spełni swą obietnicę. Jeżeli kiedy spóźnię się z odpowiedzią, to dlatego jedynie, że miejsca już brak w Skrzynce. Pozdrów ode mnie siostrzyczkę twoją i braciszków.

Witold z Płocka znalazł odpowiedź na list poprzedni w jednym z ostatnich numerów. Rozwiązania dobre. Kiedy łamigłówa twoja drukowaną będzie, odpowiedzieć nie mogę. Nie wiem jeszcze, czy została przyjęta.

Pilnie dzień przepędzasz **Miriolo** i nie dziwię się, że przy tylu zajęciach mało masz czasu do pisania listów. Tembardziej jestem wdzięczną, że przypominasz sobie od czasu do czasu o mojej ptaszęcej osobie, darząc kruszynkami wiadomości, o które w dalszym ciągu ciebie proszę.

Kochana **Tosiu** vel **Azyatko,** pojęcia nie masz jak mi przykro, że pierwsza moja odpowiedź wydała ci się zimną i za mało serdeczną, wierząc jednak, że w tem zlej woli nie było, bo jakże liścik z tak dalekich stron nie byłby mile witany? Pocieszyłam się trochę, że druga odpowiedź wrażenie pierwszej zatarła i że nie idąc za pierwszym wrażeniem, korespondencyę nie przerywasz i nadal prowadzić ją obiecujesz. A listy twoje z tak dalekiej miejscowości niezmiernie ciekawe i z zajęciem czytane, nie żałuj więc wieści o sobie. Za kartkę poczt. dzięki serdeczne.

Napisz wyraźniej **Czarny Zuczeku** jaką to książeczkę do nauki dla ciebie twoi rodzice życzą? Bardzo się cieszę, że **Wieczory** czytujesz z zajęciem i wybierasz stosowne powiastki i opowiadania dla małej siostrzyczki. Pozdrawiam was obie i spieszę do **Czarnej Perełki,** bo żal mi jej bardzo, że tak smutnie niała święta. Lecz teraz trzeba się już cieszyć, iż chociaż choroba pozbawiła cię tylu przyjemności, ale przeszła szczęśliwie; podczas świąt Wielkanocnych, będziesz mogła powetować stracone rozrywki. Należność za książkę **Glogera** można przesłać markami poczt.

Jagódce z pod Nowo Radomska za ładną kartkę bardzo dziękuję, pozdrawiając ją serdecznie wraz z siostrzyczkami.

Tak ładnie i kaligraficznie pisze **Józio Czarny Konik,** że liścik jego odczytuję z prawdziwą przyjemnością. Za dobre życzenia najserdeczniej dziękuję. Bardzobym pragnęła poznać cię, gdy będziesz w Warszawie, odwiedź koniecznie Redakcyę, może tam wtedy będę. Czy znasz Warszawę, czy przyjedziesz po raz pierwszy?

Słowik z nad Wisły dobrze rozwiązał szaradę, ale dlaczego utrzymujesz że od brzydkiego pisma odczytać się nie możesz? Ja myślę, że przy pracy i cierpliwości, jeśli ci na dobrych chęciach zbywać nie będzie, mógłbyś stanąć do naszego konkursu kaligraficznego.

Krysia z nad Stuczy łamigłówkę i szaradę trafnie odgadła. Marki przyslij, jak zwykłą posyłkę. Wraz z kartką i pierwszy twój list w korespondencji dzisiejszej znalazłam, przypadkiem leżał tak długo w Redakcyi i dlatego nie odpisałam ci dotąd. A taki miły i serdeczny, że sam przez się domagał się rychłej i przyjaznej odpowiedzi. Bardzo się cieszę z twój zapowiedzi, że myślisz często ze mną korespondować i mam nadzieję, że obietnicy dotrzymasz. Książka wysłana. Należność za „Słownik rzeczy starożytnych” można przesłać markami.

Na krótki liścik **Wandzi S.** z krótką odpowiedzią spieszę. Do grona korespondentek zaliczę cię chętnie, lecz do dłuższej pogawędki zapraszam.

Bardzo jestem rada z listu **Trawki Pod. (Kazi Ber.)** cieszę się, że tak miła czytelniczka (co już z pierwszego listu poznać łatwo) obiecuje powiększyć liczbę moich korespondentek, a z czasem mam nadzieję, że i przyjacieleczek. **Pani A. Ur.** zechciej powiedzieć, że „Stłuczone garnki” nabyć można w Redakcyi za 20 kop. z przes. pocztową. Jest to komedyjka dłuższa, 4-o aktowa, bardzo ożywna, osób 8.

Na listy i liczne w nich zapytania, które mi przysyłają, **Tygrys Sumatrański, Błyskawiczny Lew i Verni** dla braku miejsca, dłuższych odpowiedzi dać nie mogę. Łamigłówki nieodpowiednio dobrane.

Jaskółka.